

PO KOLANA W BŁOCIE, PO ŁOKCIE W CHMURACH

Niepoprawni marzyciele czy architekci przyszłości? Ich projekty są dziś lokomotywami polskiej kultury.

Dominika Węclawek

Egzaminujemy alternatywne sposoby myślenia o tym, co jest, a co nie jest możliwe w realizowaniu projektów kulturalnych – tak o działalności Fundacji Nowej Kultury Bęc Zmiana mówi jej prezes, Bogna Świątkowska. To credo mogłoby uznać za swoje animatorzy, którzy nie tylko mówią o mobilizowaniu społeczności, ale i potrafią to zrobić.

Jedną z takich osób jest Dariusz Paczkowski. Ten aktywista posługujący się graffiti (woli to niż określenie *grafficiarz*) i ekolog rozpoczął działalność w latach 80. Stara się być wszędzie tam, gdzie trzeba chronić prawa słabszych, tych, którzy sami nie mogą zadbać o swój interes. Bronił doliny Rospudy, uświadamiał dzieci i młodzież z małych miejscowości o szkodliwości palenia śmieci w piecach domowych, walczył o więcej tolerancji dla mniejszości seksualnych, osób niepełnosprawnych czy chorych na autyzm, wreszcie propagował akcję wspierania Tybetu.

Do zrobienia jest zbyt wiele, żeby się ograniczać – tak tłumaczył swoje zaangażowanie w jednym z wywiadów. Ma dar mobilizowania innych. Dzięki temu, że posługuje się street artem, jego komunikaty docierają do wielu ludzi – obraz z sugestywną, zmuszającą do myślenia treścią na murze w jednym z ruchliwych punktów miasta trudno przeoczyć.

Czego dusza zapagnie

Łatwe do zauważenia – zwłaszcza dla mieszkańców stolicy – są też akcje Fundacji Bęc Zmiana. Od września 2002 roku Bogna Świątkowska i jej współpracownicy zdołali umieścić w przestrzeni miejskiej najróżniejsze elementy, od kultowych różowych jelonków przy Bibliotece Uniwersyteckiej, przez ławki-kamyki na Polach Mokotowskich, po neonowe niezidentyfikowane obiekty ulokowane w takich miejscach, jak Frascati. Bęc Zmiana pomogła artystom pokroju Pawła Althamera czy Konrada Pustoly „zniknąć” nad Wisłą (w ramach projektu będącego częścią festiwalu Przemiany),



innych zaś zachęcała do pojawienia się tam ze swymi instalacjami. Tak było choćby z Jakubem Szczęsnym i jego pracą świetlną pod Trasą Łazienkowską. Bogna, podobnie jak Darek Paczkowski, nie znosi bezczynności. Zanim stała się animatorką kultury, już była znana jako matka chrzestna polskiego hip-hopu. Potem objęła funkcję redaktor naczelnej „Machiny”, by rzucić wszystko i zacząć pożytkować swą energię na budowanie sieci połączeń między młodymi artystami z różnych dziedzin sztuki a odbiorcami. Pomaga w tym także „Notes na 6 tygodni” – darmowy kieszonkowy magazyn, przewodnik po wydarzeniach kulturalnych różnych miast Polski, wzbogacony o rzetelne wywiady z twórcami. Bęc Zmiana ma też swój lokal, który jest zarówno miejscem spotkań, minigalerią, jak i sklepem ze wszystkim, czego dusza zapagnie. Są tu aparaty LOMO, koszulki, pocztówki, książki o sztuce, płyty oraz kartonowe modele do budowania dla dzieci. Wystarczy odwiedzić ulicę Mokotowską w Warszawie.

Miejscy herosi

Czasy, gdy ton łódzkemu życiu kulturalnemu nadawała szkoła filmowa, należą do przeszłości. Oprócz Manufaktury nastawionej na handel i rozrywkę miasto może pochwalić się swoim Łódź Art Center. Zaadaptowane na potrzeby kultural-

ne, pofabryczne wnętrza mieszczą przestrzeń dla wystaw, spektakli, koncertów. Tu odbywają się międzynarodowe imprezy: Fotofestiwal i Łódź Design Festival. W sklepiku można też kupić publikacje dedykowane sztukom wizualnym (zwłaszcza fotografii), designerskie torby i koszulki. Dyrektorem całości jest Krzysztof Candrowicz, człowiek, który aktywnie włączył się do walki o to, by dawna ziemia obiecana była postrzegana również jako stolica kultury, już nie tyle polska, ile europejska (niestety walkę o tytuł ESK 2016 Łódź już przegrała). Trzy lata temu został on najmłodszym Łodzianinem Roku, czyli zwycięzcą plebiscytu na człowieka najaktywniej działającego na rzecz rozwoju miasta, de facto jednak tytuł ten powinien być już jego dożywotnią własnością, ponieważ nie ustaje w aktywności.

W wyłaniającej się z krakowskiego cienia Nowej Hucie motorem napędowym jest z kolei Teatr Łaźnia Nowa i jej dobry duch, dyrektor Bartosz Szydłowski. W wyremontowanych wnętrzach warsztatów technikum elektrycznego Szydłowski podjął heroiczną próbę ożywienia kulturalnego okolicy – postawił na zaangażowanie nowohucian w przedsięwzięcia związane z różnymi dziedzinami sztuki, stworzył miejsce współdziałania z młodzieżą, zwłaszcza mniej zamożną. W Łaźni są organizowane spotkania, warsztaty, ale i koncerty nie-

zależnych znakomitości – od Myslovitz po Animal Collective, który wystąpi tu 22 maja. W Teatrze Łaźnia Nowa odbywają się festiwale, które pomagają oswoić z teatrem kolejne pokolenia. Jak przyznają współpracownicy Szydłowskiego, by to wszystko realizować z sukcesami, trzeba mieć olbrzymią determinację, a tej dyrektorowi nie brakuje. On sam zapewnia, że ma tyle pomysłów i planów do realizacji, że nigdy nie usiedzi na miejscu.

Podobnie jest z Michałem Słomką i jego Fundacją Tranzyt. Sama organizacja jest młoda, bo zarejestrowana pod koniec 2009 roku. Już wcześniej jednak odbywał się w Poznaniu Festiwal Filmów Dokumentalnych Tranzyt, który szybko stał się największym tego typu wydarzeniem w mieście i zaczął obrastać w dodatkowe imprezy, m.in. koncerty. Potem pojawiła się Centrala – projekt promujący sztukę komiksową z centralnej Europy. Najmłodszym dzieckiem Michała Słomki i jego współpracowników jest zaś Ligatura, festiwal kultury komiksowej obejmujący dyskusje akademickie, wystawy w kawiarniach i klubach w sercu Wielkopolski oraz spotkania z twórcami „opowieści z dymkiem”, służących oswojeniu masowego odbiorcy z tym medium wciąż niszowym w Polsce.

Pokrętna satysfakcja

Choć każda z tych osób działa w nieco innym obszarze kultury, na innym terenie i korzysta z różnych środków, wszystkich łączy pewne cechy. Na ich czele znajduje się idealizm. *Wynagrodzenie, które pobieram, jest niższe od średniej krajowej. Od stycznia do kwietnia wszyscy w fundacji czekamy na informacje, czy i jakie projekty otrzymają dofinansowanie. Żyjemy z pieniędzy odłożonych, pożyczonych, utrzymywani przez swych partnerów* – mówi Bogna Świątkowska. Paczkowski zaś dodaje, że odkąd wybrał zawód animatora kulturalnego, ćwiczy umiejętność twardego negocjowania.

Często jestem zapraszany przez organizacje alternatywne. Proponują mi prowadzenie warsztatów czy namalowanie graffiti za zwrot kosztów przejazdu. Niestety z przykrością zawsze muszę wyjaśniać, że nie utrzymuję mnie duże korporacje, nie maluję graffiti reklamowego znanych marek. Robiąc street art zaangażowany społecznie, uzależniam swój byt od takich właśnie organizacji – mówi. Czy to wystarcza na godziwe życie? Paczkowski śmieje się, że na wakacje do Egiptu nie jedzie. Świątkowska mówi natomiast o dziwnej

i pokrętniej satysfakcji ze zmieniania świata na lepsze.

U większości tych, którzy dziś zajmują się animacją kulturalną, owa potrzeba aktywności kielkowała od wczesnych lat życia. Podobnie jak zamiłowanie do pracy z innymi ludźmi. Candrowicz bardzo świadomie wybrał kierunki studiów. Decydując się na socjologię sztuki i zarządzanie kulturą, może dziś rzeczowo dyskutować z urzędnikami i rozwijać Łódź Art Center. Bartosz Szydłowski, absolwent UJ (filmoznawstwo) i PWST w Krakowie (reżyseria dramatu), jeszcze przed debiutem w cudzym teatrze założył Stowarzyszenie Teatralne „Łaźnia”.

Dariusz Paczkowski do animacji kulturalnej doszedł od punk rocka i od tęsknoty za rodzeństwem, którego nigdy nie miał. Mówi, że jako jedynak Ignie do ludzi, a prowadzenie warsztatów bardzo mu w tym pomaga.

Nie tylko dla siebie

Dziś do działania nie jest łatwo zmobilizować kogokolwiek. *Mamy klęskę urodzaju* – ocenia Paczkowski. W latach 80. brakowało materiałów, a wydrukowanie jednego zinu wymagało często dużej dawki kombinowania. Znacznie prościej było jednak wciągnąć ludzi, wywołać reakcję. *Wtedy czego by człowiek nie zrobił, był buntownikiem* – śmieje się Paczkowski.

Na początku wszystko wydaje się proste, choćby dzięki euforii, która napędza do nowych działań.

Dopiero z czasem okazało się, jak pochłaniająca jest to praca. Wymaga dyscypliny, dbania o papiery, ciągłej kreatywności i uporządkowania wielu spraw – mówi Michał Słomka. Dodaje, że wyzwaniem okazuje się choćby wyznaczanie sobie samego czasu pracy, tak by nie zabrała ona całego życia.

Po dwóch-trzech latach, kiedy już wiadomo, że samym entuzjazmem niewiele się wskóra, przychodzi otrzeźwienie. Brutalna prawda jest taka, że do funkcjonowania w tym sektorze potrzebne są dobre podstawy. Baza może być w samochodzie, tak było w moim przypadku, ale później ten samochód trzeba sprzedać ze względów finansowych – ostrzega Bogna Świątkowska.

Największych kozaków wykańcza walka z biurokracją. Wielu animatorów skarży się, że wnioski o dofinansowanie ich projektów bywają odrzucane nie dlatego, że są to złe pomysły, ale z powodu błędów formalnych, często wynikających z niejasnych regulaminów. Świątkowska mówi nawet, że cała idea jej fundacji wzięła się właśnie z potrzeby stworzenia instytucji nieobciążonej wadami zarządzania korporacyjnego, która jednocześnie zajmowałaby się sensownymi działaniami, przynoszącymi efekty.

Skutki widoczne są dopiero z czasem. Na przykład mieszkańcy Nowej Huty już nie przecinają dla draki kabli z zasilaniem, tak jak to miało miejsce na jednym z pierwszych przedstawień plenerowych Łaźni. A dzieciaki po warsztatach z Paczkowskim chętnie pilnują dorosłych, by nie zatruwali powietrza wrzucaniem byle czego do domowego pieca. Przedstawiciele sektora pozarządowego zajmujących się przerzucaniem kulturalnych pomostów między twórcami i odbiorcami (także tymi mniej świadomymi) jest też coraz więcej. Owszem, niektórzy entuzjaści po kilku latach odchodzą, by zacząć „normalną” pracę, inni jednak zostają wierni swoim pasjom. Na ziemi trzymają ich rachunki, podania, pozwolenia i odmowy. A w chmurach unoszą marzenia, nowe pomysły i duma z tego, że nie pracują tylko dla siebie.

